

Prawa Murphy'ego

Antygona w Nowym Jorku, reż. Maciej Marczewski, Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu

 Anna Jazgarska

aA aA aA



fot. Wojtek Szabelski

W centrum sceny parkowa ławka, na niej – kłębek szczelnie okryty zniszczonym kocem. Z boku sceny potężne łyse drzewo, w głębi metalowy płotek, za którym majaczy, zza siatki, krajobraz świecących potęgą wieżowców. Na scenicznych deskach śmieci. Pożółkłe gazety, butelki, kartony. „A nie mówiliśmy?” – czytamy ze zmęczonych spojrzeń bohaterów toruńskiej *Antygony w Nowym Jorku*, którzy zjawiają się w tej sfatygowanej przestrzeni niczym upiory z przeszłości.

Prapremiera dramatu Janusza Głowackiego odbyła się ponad ćwierć wieku temu. Wtedy, dla przepoczwarzającej się, oczarowanej Zachodem Polski, opowieść o bezdomnych z Tompkins Square Park była niczym cios w serce. Budowana latami mitologia zadrżała na widok przechlanego Pchelki, bo oto nagle okazało się, że „ciocia z Ameryki” może nie mieć zębów i spać w kotłowni. Ze ten *american dream*, który my też tak bardzo chcemy śnić, może być również koszmarem. Minęło ponad dwadzieścia pięć lat. Za nami kilka gonitw o spełnienie. Przeszliśmy „Wyspy”, Skandynawię. Po tych wszystkich doświadczeniach *Antygona w Nowym Jorku* powinna być jak straszna opowiadka z dzieciństwa zracjonalizowana w dorosłości. Dlaczego więc tak uparcie nie jest? Oglądając przedstawienie Macieja Marczewskiego, uświadamiamy sobie, że ta trójka upiorów z zamierchłej przeszłości, kiedyś tak strasznych, bo egzotycznych, jest nam dzisiaj dużo bardziej bliska niż wtedy. Że Pchelka, Sasza i Anita są dla nas teraz, paradoksalnie, dużo bardziej prawdopodobni, a ich biografie niepokojąco rymują się z repertuarem naszych dzisiejszych, najbardziej przerażających fantazmatów.

Przedstawienie w Teatrze im. Wilama Horzycy nie odstępuje oryginału Głowackiego ani na krok, wiernie przenosi słowo, skrupulatnie czyta didaskalia. Siedzący na parkowej ławce Sasza (Paweł Tchórzelski) majstruje przy rozklekotanym magnetofoniku. Kojące dźwięki zacinają się, milkną co chwilę. Ciszę, której muzyka z zepsutego odtwarzacza nie chce zastąpić, rozbraja Anita (Joanna Rozkosz), wtaczająca się na scenę z załadowanym kłopotami sklepowym wózkiem. Gorączkowa narracja kobiety próbuje zwabić puste spojrzenie Saszy. Ze słownej magmy, którą obwieszona budzącymi politowaniem atrapami ozdób Anita wylewa z siebie bez wytchnienia, niemal natychmiast wylawiamy zapisaną na marginesach, potwornie gorzką intencję – pragnienie bliskości. Tę samą chęć ujawnia chwilę później Pchelka (Bartosz Woźny), którego rozedrgane spojrzenia i kompulsywne pokrzykiwania mają tylko jeden cel. Zainteresowanie Saszy, mianowanego przez Pchelkę przyjacielem.

Realistyczne kostiumy, w które ubrali aktorów toruńskiej adaptacji Katarzyna Sobańska i Marcel Sławiński (również autorzy scenografii), oplatają ciała całej trójki patchworkowymi kokonami biedy. One, wraz z dosłownie skomponowaną scenografią przedstawienia, potęgują wrażenie permanentnego bezruchu, który nieuleczalnie trawi biografie bohaterów *Antygony w Nowym Jorku*. Pogodzony z tym życiowym letargiem zdaje się być jedynie Sasza. Bohater, w bardzo dobrej roli Pawła Tchórzelskiego, początkowo wręcz poraża swoją biernością. Jego reakcje na fantastyczne opowieści współmieszkańców parku sprowadzają się do rzucanych w przestrzeń krótkich fraz, przepelnionych ironią, odżegnujących się od jakiegokolwiek bliższego kontaktu. Jego towarzysze bierność pośpiesznie zagadują. Podróż, przeczuwalnie pierwsza od długiego czasu i prawdopodobnie (jak przeczuwamy) ostatnia w ich życiu, ujawnia, że marazm w ich przypadku to „naturalny” objaw stanu nieustannego oczekiwania. Wędrowka do miejskiej kostnicy na drugi koniec miasta, do której namawia mężczyzn nowojorska Antygona-Anita, pragnąca pogrzebać w parku zwłoki Johna (Robert Nowak), ujawnia, że każdy z bohaterów wciąż i mimo wszystkich okoliczności – ma na coś nadzieję, na coś rozpaczliwie czeka. Anita na telefon od pracodawcy, Sasza na wyjazd do Rosji, w której ceniono go jako malarza. Pchelka, najbardziej bodaj smutna postać dramatu, czeka na przyjazd ukochanej Joli. Choć jednocześnie każdy z nich doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że czekać nie ma już na co. Pracodawca nie zadzwoni już nigdy, Rosja o Saszy zapomniała dawno. A Jola była w Nowym Jorku i odjechała, zawstydzona widokiem zapijaczzonego, bezdomnego Pchelki.

Właściwie cała druga część spektaklu Marczewskiego to obrazy „zaczarowywania” pustki, której żaden z bohaterów nie chce zobaczyć w całej jej okazałości, którą każdy z nich opatula wyszperanymi z pamięci artefaktami z przeszłości. Kwintesencję prowizoryczności tych działań, ich uludę świetnie oddają dwie sceny. Ta, w której Anita szykuje ceremonię żałobną dla Johna, oraz ta, kiedy kobieta szykuje Saszę na wizytę w ambasadzie. W obu Anita ubiera, przysłania pustkę tandetną namiastką sensów – na skleconym naprędce ołtarzyku kobieta roztawia biedne, odrapane przedmioty, które dawno i na zawsze straciły swoje pierwotne funkcje. To samo ma miejsce w przypadku, gdy bohaterka próbuje „wystroić” Saszę. Koszula, marynarka, buty, ubrane na polatanę łańchmany bezdomnego potęgują wrażenie karykaturalnej maskarady, karnawałowej zabawy „w życie”.

Janusz Głowacki napisał o *Antygonie w Nowym Jorku*, że to utwór przede wszystkim o rozpacz. W bardzo „klasycznej”, wiernej literackiemu oryginałowi adaptacji Macieja Marczewskiego rozpacz wyziera z każdej sceny, choć niejednokrotnie towarzyszy jej nienachalna ironia. Opowieść o trójce mieszkańców upadającego obozowiska, snuta przekornie przy słodkich dźwiękach amerykańskich standardów rozrywkowych, ma wymiar niezwykle bolesny, w czym zasługa w dużej mierze zespołu aktorskiego. Trudno mi rozstrzygnąć, czy fakt, że oglądając ten spektakl, natychmiast niemal oderwałam bohaterów od scenerii (skądinąd naprawdę świetnie zrealizowanej), w którą wpisał ich reżyser, należy uznać za błąd czy raczej wartość. Jedno wiem, Głowacki i jego nowojorska trójka brzmią wciąż przeszywająco. A przepowiednia samotności, osobności i czekania na to, co nigdy nie nadejdzie, którą autor wpisał w swój dramat ponad ćwierć wieku temu – upiornie się realizuje. Chociaż już w zupełnie innych dekoracjach.

18-10-2019

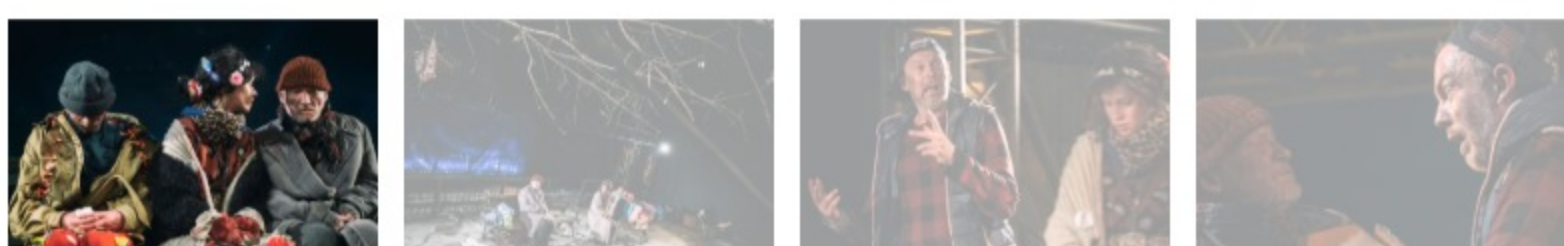
Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu
Janusz Głowacki
Antygona w Nowym Jorku
reżyseria: Maciej Marczewski
scenografia i kostiumy: Katarzyna Sobańska, Marcel Sławiński
drugi scenograf: Sławomir Szondelmajer
obsada: Paweł Tchórzelski, Joanna Rozkosz, Bartosz Woźny, Robert Nowak
premiera: 28.09.2019

JANUSZ GŁOWACKI MACIEJ MARCZEWSKI TORUŃ TEATR IM. WILAMA HORZYCY

Antygona w Nowym Jorku, reż. Maciej Marczewski, Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu



Fot: Wojtek Szabelski



Oglądasz zdjęcie 1 z 7

Szukaj w serwisie

Szukaj

REGIONY

POWIĄZANE TEATRY

Teatr im. Wilama Horzycy

PRZECZYTAJ TEŻ

Joanna Puzyna-Chojka
Dwa światy

Tomasz Mościcki
Upadek w cieniu palm

Piotr Dobrowolski
Jestem wku*wiona

Krzysztof Kopka
O śmiechu

Bohdan Cieślak
Spotkania w Przestrzeni

Krzysztof Kopka
O demokracji wertykalnej i bezprzymiotnikowej. Odpowiedź krytykom

BĄDŹ NA BIEŻĄCO



Bądź na bieżąco, dołącz do naszego newslettera

Twój adres email

Dołącz

☐ Nie jestem robotem

 reCAPTCHA
Prywatność - Warunki

Dołączając akceptujesz naszą politykę prywatności oraz warunki korzystania z portalu z zawarte w regulaminie.

Projekt „Ogólnopolski portal Teatralny.pl” jest finansowany ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programów MKiDN, priorytet TEATR



Sfinansowane przez
Unię Europejską
NowoGeneracjeEU

